

Zagadka



ELIZA ORZESZKOWA

Zagadka

W piękny dzień wiosenny spotkali się na chodniku głównej ulicy miasta i stanęli pełni zdziwienia i radości. W mieście tak wielkiem spotkać się wypadkiem bardzo trudno, ale czasem los takie promienne uśmiechy składa na drogi ludzkie.

Zwierciadlana szyba wystawy sklepowej odbijała w sobie dwie ich postacie zgrabne, wytworne, mały kapelusz z fiołków na jej złotych włosach i wiązkę takichże kwiatów u klapy jego eleganckiego surduta. Młodość dwudziesto i trzydziestoletnia! Wiosna i początek lata! Para oczu tak kryształowo przejrzystych, jak krople rosy porannej i druga, więcej pogniębiona przez życie, które zwykło głębie wszelkie zaścielać cieniami. Trochę cieniów powlekało ognistość jego czarnych źrenic, gdy jej błękitne, wznosiły się ku niemu całe w promieniach, wesole, szczere do dna — sielskie. Mieszkanka wsi dalekiej, ustronnej, cichej — i syn tego wielkiego miasta, po trochu już chluba jego, autor z młodą sławą i wielką — jak powiadano — przyszłością.

— Czy podobna? Pani tutaj? Odkąd? Na jak długo? Więc raik ziemski w wianku dębowym, którego byłem niedawno gościem tak szczęśliwym, zdobył się na odwagę rozstania się z panią?

— O, na krótko! tylko na tydzień!

— Przez cały tydzień mózż każdego wieczora mówić pani: do jutra! To szczęście, o którym marzyć nie śmiałem!

Mówił nieprawdę. Odkąd powrócił z podróży, której trasy zawiodły go do „raiku w wianku dębowym”, często, daleko częściej, niżby chciał tego, marzył: „może przyjedzie!” Gdy dni już sporo upłynęło, z żalem, większym niż zrazu mógł się spodziewać, zapytywał: „Czyżby nie przyjechała?” Potem z trochę zarozumiałości męskiej mówił sobie: „pewno przyjedzie!” na myśl tę czując radość wielką i za tę radość surowo siebie karcąc. Marzenia i nadzieje, z nią związek mające, gasić usiłował jak świece niepotrzebnie palące się tam, gdzie już jasno płonęła lampa. Nadaremnie, bo wnet podmuch gorący, z jakichś głębin nieznanych przylatując, zapalał je na nowo, a blask lampy stawał się coraz słabszym...

Zaczęła mówić prędko, z rumieńcami, które opływały twarz przedziwnie świeżą, to znikwały, zdając się wtórzyć przyśpieszonym uderzeniom serca.

— Tak to się zdaje, że tydzień, to długo. Przemknie jak minuta! Mam mnóstwo sprawunków do załatwienia, poleceń do spełnienia. Muszę wszystko zobaczyć: wystawy obrazów, panoramy, teatr... Do księgarni po książki i nuty... Do rozmaitych sklepów po tysiąc kapeluszy, materyi, rękawiczek, wstążek... Do Łazienek, do ogrodu Botanicznego, do redakcji trzech gazet: tatusiowi i dwom sąsiadom po jednej...

— Wielki Boże! A gdzie wśród tego wszystkiego trochę, choć trochę czasu dla mnie?

— Ach, prawda! Nie pomyślałam o tem!

Mówiła nieprawdę. Myśl, że go zobaczy, tęsknota do niego, tak w niej tkwiły, że przed wyjazdem z domu, w wagonie i odkąd tu przybyła, prawie o niczem innem, jak o prędkim zobaczeniu go nie myślała. Ale mówiąc nieprawdę, zaśmiała się tak głośno i serdecznie, że aż paru przechodniów obejrzało się i uśmiechnęło, bo im się zdało, że usłyszeli skowronka, który z pola tu przyleciał.

— Tyle było kłopotów przed wyjazdem! Tatusz zgadzał się, abym na tydzień pojechała do cici, ale mama się nie zgadzała, a kiedy nareszcie mama zgodziła się, tatusz zgadzać się przestał. Bronia płakała, że bezemnie rozchorują się jej lalki. Staś wyrzekał, że przerwą

się lekcje botaniki pogładowej; sąsiadki i sąsiedzi przywozili próbki materii, miary buci-
ków, tytuły gazet, a wszyscy ze wszystkich kątów pamięci zbierali i do kufra mi ładowali
przeestrogi higieniczne, estetyczne, moralne: nie przeziębiam się! nie wychylać się przez
okna wagonów! Nie paplać jak sroczka! Nie śmiać się jak dzwonek! nie dać się olśnić
blaskom wielkiego miasta, które są niczem więcej, tylko *vanitas vanitatum*... zdaje się, że
vanitas vanitatum... czy końcówki dobre?

— Zupełnie dobre, lecz okropnie niedobrem jest to, że w zawierusze tego ewene-
mentu pamięć o mojem istnieniu tutaj zginęła, jak liść zeschnięty, uniesiony wiatrem.

Z pokorą, pełną figlarnych uśmiechów, rzekła:

— Bardzo przepraszam, ale to prawda: — zginęła!

Tym razem zaśmiali się oboje, bo on jasno widział, że „to” nie było prawdą. Wszyst-
ko w niej, jak w naczyniu kryształowym, było dla niego jasnym i widocznym. Dziwił
się nieraz, jakim sposobem istota ludzka, choćby młoda, posiadać może świeżość serca
i humoru tak nietkniętą i przedziwną. Przypisywał to atmosferze patryarchalnej, która
w jej domu rodzinnym panowała, rozmaitym właściwościom wsi, a nadewszystko wła-
snej jej naturze anielskosielskiej. Nieraz, przez te dni kilka, które tam spędził, patrząc
na jej zatrudnienia i zabawy, myślał: anielsko-sielska! Czasem, gdy w tym wianku zie-
lonym, który otaczał „raik ziemski”, chodzili pomiędzy dębami rozmawiając, uśmiechał
się: „optymistka! dziecko!” Parę razy nawet, ze skrytym uśmiechem ironii, zawołał w my-
śli: „Naiwna!” Lecz zawsze w anielskości i sielskości, z optymizmu i naiwności, wiały na
niego tchnienia jakichś rozłogów kryształowych, jakichś bajecznych rajów niewinności
i prostoty, coś z niespodzianki, owiniętej w błękitną radość. Tak wiele miał na codzień
myśli własnych i cudzych, tak wiele chmur niosących nad światem zapytania, zwątpie-
nia, że znajdując się przy niej, czuł promienną rzadkiego święta i swobodę, świeżość
chłopięcych wakacji.

Teraz, gdy szli chodnikiem wielkiego miasta, potrącając ludzi i przez nich potrąceni,
bo oprócz siebie nawzajem nikogo i nic dokoła nie widzieli, szły z nimi razem wspo-
mnienia kilku dni tylko, lecz uplecionych z mnóstwa momentów, jak girlanda z kwia-
tów. Czuli, że oplata ich i łączy girlanda z kwiatów, które dla niej nie miały ani jednego
ciernia, a dla niego... może miały, lecz nie pamiętał teraz o cierniach, tak jak o niczem,
co nie było nią i dzisiejszem ich spotkaniem w ten cudny dzień majowy...

— Jak żyję nie widziałem tak pięknego kwietnia, jak w tym roku... w Liliowej. Czy
w ogrodzie państwa, ta wielka, stara grusza stoi jeszcze w powłóczyściej sukni ślubnej?

— Ach, pan ją pamięta? A pamięta pan te jabłonki, które w blado — różowem
kwieciu wyglądały jak druchny?

— I te jabłonki pamiętam. Ale pewnie teraz nie są już blado-różowe. Jaka szkoda, że
kwiaty wiosenne muszą osypywać się z drzew!

— To nic; zastępują je inne, których mnóstwo jest teraz w ogrodzie, na polu, na
łąkach!...

— Pani nie żałuje tych kwiatów, na które patrzyliśmy razem?

— Chciałabym razem z panem patrzeć na te, które po tamtych rozkwitły.

Spojrzał na nią tak, jakby rzekła słowo, które wdzięcznością ugina kolana, ale ona nie
widziała tego, powieki miała spuszczone i na drobnych ustach uśmiech zadumany.

— Niestety! — rzekł — drzwi rajów nie otwierają się codziennie!

— O, drzwi Liliowej stoją zawsze otworem dla przyjaciół!

— Którzy są tak biedni, że jednak wstępować w nie nie mogą.

— Dlaczego?

— Dziwne pytanie! Alboż Bóg dał mi to szczęście, abym wyrósł z gruntu Liliowej?
Oby tam byłem, przybysz ze świata nędzy, walki, pracy...

— Dlaczego pan pracę zestawia z nędzą?... Walką jest ona pewno, ale nie nędzą,
a w walce pan zwycięża. Jakaż to nędza, dar usiewania ziemi gwiazdami myśli dobrych
i pięknych? Czyż nie jest zwycięstwem to, że pan najpewniej wielu już ludzi oświecił,
pocieszył, pięknie natchnął, że pan już sławę zdobył, że nawet pan Ignacy, sąsiad nasz,
gdy imię pana wydrukowane zobaczy, woła do córek tak, że aż szyby w oknach dzwonią:
„Dawajcież mi go, prędzej, bo ten to tak pisze, że czytając — nie zasnę!”

Komicznie wyglądała, naśladując głos sąsiada, gdy jak zbawienia, czepiał się jedyne-
go autora, którego pisma czytając — nie usypiał.

— Pani mogłaby samego Danta w otchłani piekielnej pocieszyć. Ale ja dziś pociechy nie potrzebuję... takim szczęśliwy!

Głos załamał się mu w gardle; ona zażartowała.

— A ja! Cóż ze mną! Takiej parafiance dostać się po niebytności długiej do wielkiego miasta! Cała jestem radością!

— Pani tak lubi miasto?

Myślała chwilę.

— Lubię i wieś i miasto. Wie pan? Zdaje mi się, że wszystko na świecie lubię. Czasem nawet myślę: skąd to pochodzi, że najsprzeczniejsze rzeczy posiadają dla mnie urok, chociaż coraz inny, ale zawsze miły, taki, że przez niego muszę kochać cały świat. Wszystko jest na swój sposób miłe. Kiedy wjeżdżam do miasta, to mi w tym ruchu, gwarze, turkocie, aż serce zaczyna mocniej bić od radości i chciałabym ptakiem wlecieć w ten zamęt, zobaczyć, usłyszeć wszystko, co w nim jest: domy, rozmowy, obrazy, muzykę...

— Wystawy sklepowe... tysiąc kapeluszy i materyi...

— Tak, tak! I kapelusze również! Słyszę zawsze, że to wszystko jest bańką mydlaną, ale ja i bańki mydlane lubię, bo takie lekkie i śliczne w nich mienią się barwy tęczowe... Potem, kiedy wracając na wieś, zobaczę nasz dom z topolami, gaj dębowy, obłoki, pola, czuję znowu takie ciche, trochę jakoś smutne, ale głębokie szczęście i myślę, że jeśli wielkie miasto świetnie odbija w sobie blaski tęczowe, to wieś jest sama taką wielką poważną, stojącą nad światem tęczą...

Może zawstydzona tem, że tak wiele mówiła, umilkła, a on po chwili z cicha rzekł:

— Niech pani mówi jeszcze, co pani lubi!... Niech pani mówi jeszcze! Niech przed śpiewem skowronka milkną czarne skrzydła melancholii!

Gdy zmieszana, nie odpowiadała, odpowiedział:

— A muzykę pani lubi?

— Wszelką. To właśnie dziwne, że wszelką... każdy jej rodzaj. Przed paru laty, kiedy podróżując trochę z chorą mamą nasłuchiwałam się orkiestr doskonałych i oper wspaniałych, byłam pewna, że w domu będzie już koniec moich przyjemności muzycznych, że na wsi nigdy już ich nie doświadczę. Tymczasem, raz, wyszłam przed wieczorem w pole i usłyszałam surmę. Czy pan słyszał kiedy nasze surmy poleskie? Nie? To niech pan żałuje... Pastuszek grał na niej daleko, pod lasem, we mgle jesiennej. Tylko trzy tony smutne, przewlekłe, ciągle te same pod niebem chmurnym, nad polami obnażonymi... Cóż, na pozór, może być w tem pięknego?... Jakież porównanie z koncertami, z operami, których miałam jeszcze pełną pamięć? Jednak, nie wiem skąd to pochodzi, ale przekonałam się wtedy, że lubię surmę pastuszą niemniej od oper i symfonii; owszem, może więcej, bo tamte chciałabym mieć na święta, a tę na codzień. Niech pan przyjedzie do nas w jesieni posłuchać, jak surmy grają!

— Niech mnie pani na piękniejszy moment roku zaprosi. Jesień — to chmury, słoty, błoto...

— O, przepraszam! A liście czerwone i złote na drzewach? A drobniutkie deszczyki, które zasłaniają dębiny, jak firanką muślinową? A spadające na dziedziniec stada kawek z siwymi obrożkami na szyjach? Ale pewno, pewno, że niema w tem nic osobliwego i sama nie wiem, skąd to pochodzi, że tak wszystko, a wszystko lubię. Nawet rzeczy najdrobniejsze: uderzenia zegarka, kiedy w domu zupełnie cicho, furczenie wrzeciona, albo stukanie krosien za oknami chłopskiej chaty... Lubię lato i zimę, ranek i wieczór, kiedy słońce świeci i kiedy deszcz pada...

— Kiedy dziadunio się rozgderze...

— Lubię również, bo tylko przybiegnę, za szyję obejmę, na siwych włosach rękę położę, i — już cicho! Dziadunio żartować poczyna, a wszyscy mi dziękują, żem go w dobry humor wprowadziła...

— I jak mała siostrzyczka uprze się, aby pani jej lalki na spacer prowadziła...

— Z początku nie bardzo mi się chce, ale gdy już raz wyjdę z lalkami na spacer, to już najpewniej bawię się lepiej od lalek.

— I jak pan Ignacy szeroko o polityce rozpowiadać zaczyna...

— Również lubię, bo mogę wtedy, w kątku z robotą siedząc, o niebieskich migdałach myśleć...

Znowu zaśmiali się, oboje, ale zarazem stanęli zdziwieni. Dokąd to oni właściwie zaszli? Ona miała odwiedzić przyjaciółkę serdeczną; on do redakcji jednej z wielkich gazet niósł rękopis pożądany i oczekiwany; tymczasem szli, szli, rozmawiali, patrzyli wzajem na siebie i z uszami pełnymi dźwięków głosów własnych, z ulicy w ulicę, naprzód w tłumie, którego nie widzieli, potem wśród wzrastającej pustki, której nie spostrzegali, zaszli w jakąś dzielnicę miasta cichą, starą, w której ona nie była jeszcze nigdy.

Z udanym przerażeniem zawołała:

— Gdzie jesteśmy?

— Zabłądziliśmy!

— Ach, jak to dobrze! Cóż może być miłszego nad znalezienie się w miejscu nieznanym? Lubię ogromnie poznawać, wszystko oglądać w miejscach jeszcze nieznanymi!

— Oglądajmy! — zawołał wesoło.

Dzieckiem tego miasta będąc, w każdym jego zakątku znał rzeczy piękne lub ciekawe; ten zaś, w którym teraz się znaleźli, przepływała głębokim i smętnym strumieniem poezja przeszłości historycznej. Więc jak przedtem szli znowu, tylko nie z ulicy w ulicę, ale z uliczki w uliczkę, pomiędzy dwoma ścianami murów bardzo wysokich i starych, z blizka wznoszących się naprzeciw siebie i wydających atmosferę melancholii i zadumy.

Z zadumą rzekła, że doświadcza takiego uczucia, jakby przechadzała się pośród grobowców i pomników, a on jej tłómaczyć zaczął, że istotnie są to grobowce pokoleń przeminionych, pomniki przebrzmiałych słów i hasła, kamienne ślady życia, które spłynęło w ocean przeszłości. Kto i jak żył za temi oknami, których kształty zdumiewały oko? Jakie postacie wchodziły w te przedsionki wąskie, długie, pełne zmroków za strzegącymi wnętrza ich żelastwami, pełnymi wzorów i godel? Czyje powozy budziły głuche turkoty pod lukami tych bram ciasnych, a wyniosłych? Jakie imiona rozbrzmiewały chwałą lub hańbą w tych ścianach pełnych teraz skaz i pęknięć, pod śniedzią starości, których żadna farba pokryć nie może? O wszystkim tem opowiadał jej z rozkoszą znawcy, który do krain znanych i kochanych wprowadza umysł ciekawy i uczuciowość przedziwnie świeżą, wrażliwą.

Z trochę zawstydy rzekła:

— Zdawało mi się, że znam historię... jednak nic prawie nie wiedziałam o przeszłości tego miejsca!

— Niech to pani nie martwi! Trzeba więcej czasu, niż pani mieć mogła, aby poznać nieskończone małości, z których składa się nieskończona wielkość, albo ogarniając okiem krajobrazy, dostrzegać źdźbła trawy, z pośród których wyrastają drzewa.

Coś z powagi i siły męskiej powiało na nią od słów tych, od jego wiedzy, od przenikającej jego wiedzę poezji powściągliwej. Szła, szczęśliwa, zapytując, słuchając. Przechodniów spotykali mało. Często dwie ich postacie, młode, zgrabne, promieniejące, z rozmową cichą i szybką same jedne przesuwały się w prawie kościelnym chłodzie i zmroku tych szczelin, wydrążonych w tych murach wysokich, szarych. Za nimi płynęła powietrzem smuga woni fiołkowej.

Czy długo to trwało?

Nie pomyśleli o tem, tak jak nie uczuwaliby znużenia, ani głodu. Owszem, żadną wyrażną myślą sprawy sobie z tego nie zdając, mieli uczucie istot skrzydlatych, wolnych od pęt życia codziennego, upojonych balsamami lejącymi się z jakichś górnych i złotych eterów. Zatrzymali się dopiero przed masą zieleni, która im drogę zastąpiła. Nieduży, ale piękny ogród publiczny, pełen drzew rozłożystych i pomiędzy nimi siedzeń, zapraszających do spoczynku. Mało ludzi, wiele ciszy i mnóstwo jaśminowych kwiatów, wonnem mlekiem oblewających krzewy. Na ławce pod jaśminami, raz jeszcze przez roztwartą bramę ogrodu zatopiała wzrok w wąską uliczkę, u której końca strzelała pod niebo wieża starego kościoła.

— Pewna jestem, że przyjaciółka moja, do której szłam, gdy pana spotkałam, często tę malowniczą część miasta odwiedza! Jutro przyjdziemy tu z nią razem. Ja, pan i ona, przyjdziemy tu razem... Czy dobrze?

— Wolałbym tak, jak dziś, bo osoba trzecia, jak język w zagadce Ezopa, może być rzeczą najlepszą, albo najgorszą... Czuję, że ta, o której mówimy, choćby była najlepszą, dla mnie będzie najgorszą.

— Jest najlepszą ze wszystkich kobiet w świecie!

Z uśmiechem patrząc na nią, zaprzeczył:

— To być nie może!
— Jest taka, że w porównaniu z nią, ja... pyłek nic nie znaczący! To Janina Skierska!
Gdyby w tej chwili nie miała powiek spuszczonej, zdziwiłaby się bardzo. Imię, które wymówiła, uderzyło w niego przerażeniem.
— Ta malarka — dodała — ta sławna!
Podniosła wzrok i w myśli zawołała:
— Co to jest? Dlaczego on tak pobladł?
Lecz w mgnieniu oka rozważyła, że musi jej tylko tak się zdawać. Zazwyczaj miał cerę bez rumieńców, śniadawą, a teraz może od tych jaśminów pada mu na twarz taka biała luna. Więc zaczęła pytać:
— Nie zna pan Janiny Skierskiej? Nie spotykał pan jej nigdy?
Nie zaraz odpowiedział, bo ogarnęło go zamyślenie kamienne. Z czołem na dłoni opartem, wzrok miał wbity w ziemię i wargę drgała mu lekko, jakby błędziło po niej drażniące ziarnko pieprzu.
— Nie zna pan Janiny Skierskiej? Ja znam ją zblizka, bo czasem przyjeżdża w nasze strony... starsza odemnie o lat kilka, pomimo to — jesteśmy z sobą w przyjaźni serdecznej. Nie spotykał pan jej nigdy?
— Owszem, owszem; znam pannę Skierską. Bardzo ładny talent malarski!
— I sama śliczna jest, oryginalna...
— Tak, tak! bardzo niepospolita!
Oczyrna rozszargnionymi błędził po drogach i trawnikach ogrodu. Było to tak, jakby oczy jego szukały czegoś, lub od czegoś uciekały. Po paru minutach dopiero, ruchem trochę porywczym zwrócił się do towarzyszk i mówić zaczął:
— Wie pani? Takich słonecznych, kwiecistych, cudnych dni, jak dzisiejszy, tak mało w życiu! Czy widziała pani kiedy meteory, które z pośród gwiazd wylatując, świetnym błyskiem przeryniają ciemności nocne i dotknąwszy ziemi — gasną? Taki dzień, jak dzisiejszy, jest meteor, który powstaje u szczytów życia i świetnym błyskiem przesywa jego ciemności. Niechże rychło na ziemię nie spada! Chrońmy go, dopóki podobna, od zetknięcia się z twardą ziemią! Wyosobnijmy go od reszty życia! Dopóki trwa, niech będzie dla nas sam jeden, bez wczoraj i jutra, bez ludzi i — nas samych, takich, jakimi jesteśmy na codzień! Zapomnijmy o przyjaciółkach, o malarkach, o wspólnym z nimi zwiedzaniu miasta. Nie myślmy o niczym, tylko o tem, że jest nam dziś tak przedziwnie dobrze — nieprawdaż? Nie oglądajmy się pamięcią na nic, tylko patrzmy sobie nawzajem w dusze i bierzmy z nich do pamięci to, co będzie nam klejnotem i skarbem wtedy — kiedy meteor dotknie ziemi i zgaśnie!
Skąd powstał mu na twarzy i w głosie ten gwałt namiętności i bólu, z którym mówił i na nią patrzył? Nie rozumiała; lecz upojona i porwana, zcicha odpowiadać zaczęła:
— Ależ dobrze! dobrze! Mnie w tej chwili do nikogo w świecie nie pilno i nigdzie w świecie być nie chcę, tylko tu, w tym ogrodzie, gdzie tak mało ludzi, i nikt, oprócz tych kwiatów jaśminowych, na nas nie patrzy. Ale one zato, czy widzi pan, jak patrzają na nas wszystkimi naraz niezliczonymi tysiącami swoich śnieżnych, dużych oczu? Zdaje mi się, że to taki dziwny sen, w którym świat cały stoi w złocie słońca, a ze złota słonecznego patrzają na mnie tysiące oczu takich śnieżnie białych, dużych...
On, z oczyma utopionymi w jej twarzy, zcicha powtórzył:
— To taki cudny — sen!
I jeszcze ciszej, szepnął:
— Cicho! Nie budźmy się z jaśminowego snu!
Długo nie mówili nic, słuchając kołysanki powolnej i słodkiej, którą w złocie słonecznym śpiewały białe oczy jaśminowe i własne ich serca.
Ona pierwsza uśmiechnęła się i, podnosząc na niego oczy, zaczęła mówić:
— Powiedział pan: patrzmy sobie nawzajem w dusze! Dobrze. Chcę zobaczyć, co jest w duszy pana. Moja, to taki domek z pootwieranymi na oścież oknami, niech pan przez wszystkie patrzy. Ale proszę też przedemną choć jedno otworzyć...
Wesołość jej, na chwilę przez wzruszenie spłoszona, powracała razem z żartobliwym tonem mowy:

— Daremnie przestrzegano mię w domu, abym nie paplała jak sroczka. Tyle naopowiadałam panu o tem, co lubię, a pan mi jeszcze nie powiedział nic. Proszę opowiedzieć zaraz, szeroko i długo: co pan lubi?

Z zachwyceniem, patrząc na nią, odpowiedział:

— Nie jestem taki, jak pani; nie mogę powiedzieć, że wszystko na świecie lubię. Jednak wiele jest rzeczy takich, które kocham. Na rozkaz pani otwieram okno mego domu. Niech pani patrzy!

Zamyślił się na chwilę. Widać było, że chciał jak najszerzej otworzyć przed nią jedno z okien swojej duszy i że czynił to z rozkoszą.

— Kocham te chwile swojej przeszłości, w których wieszczka natchnień twórczych rozniecała we mnie płomienie zapałów górnych, silnych i kocham światła górne, wielkie, ku którym wzbijały się te płomienie. Pani te światła zna też i kocha. Są to przeciągnięte po niebie myśli, smugi ideałów. Ktokolwiek ma duszę, kocha je, kto ich nie kocha, nie ma duszy. Kocham wiedzę, bo dopomaga rozpędzać mgły, zasłaniające ideały i pracę, bo przędzie nić, przyciągającą je ku ziemi. Kocham momenty pracy upartej, wytężonej, w których coraz bliżej, coraz jaśniej dostrzegam oblicza ideałów i momenty walki z niemocą własną, ze słabością swoich narzędzi, ciężkie, bo nawiedzone przez rozpaczę zwątpień, lecz z których zawsze wynoszę w zmęczonych dłoniach mniejszą lub większą palmę zwycięstwa. Kocham swoje zwycięstwa, bo dają mi palmy do składania u stóp ołtarzy.

Czuła znowu silne tchnienie, bijące w nią od widnokręgów męskiej myśli i pracy, lecz spuściła powieki, bo on podniósł na nią spojrzenie i zaczął dotykać niemi jej czoła, ust, włosów, jakby namyślał się, co z tego wszystkiego wymienić naprzód w swojej litanii miłości. Było przecież w niej coś, co miało u niego pierwszeństwo nad koralem ust, zlotem włosów i błękitem oczu.

— Kocham serca tak poranne, jak jutrzienka, która nie wie nic, jakim będzie dzień, nad którym wschodzi, tak czyste, że na ich kryształach nie padło jeszcze żadne ziarno kurzawy, płynącej nad drogami świata, tak szczerze, ufne i do dna błękitne, że wierzę we wszechprzestrzenność i wiekuistość błękitów. Kocham takie serca, bo dają cudne marzenie o doskonałej niewinności i odpocznieniu oczom, zmęczonym widokiem win... Kocham czoła doskonale dziewicze, których ani razu nie sfalował wicher życia. Są one, jak śniegi w polocie i jak alabastrowe tablice, na których ręka Boża nie wyryła jeszcze nic — oprócz piękności. Alabaster ich nie ma skazy ciemnej i w przebiegającej go sieci liliowej nie płynie żadna kropla jadowita... Kocham usta, z których koralowego kielicha wychodzą hymny uwielbienia dla wszystkiego, co istnieje... Są to usta, które umieją w poszeptach wiosennych mówić rzeczy tak miłe, że z zachwyceniem słucha ich dojrzałe lato, a potem śmiać się deszczem paciorek kryształowych, gdy mała siostrzyczka prosi o wyprowadzenie na spacer jej lalek... Kocham rękę białą, która w wianku dębowym zrywa sasanki, aby małemu bratu tłómaczyć tajemnice ich powstawania i wzrostu, a potem, spływając na siwe włosy dziadunia, jak skrzydło anioła odwiewa gorycze i nudy starości... Ta ręka biała, to płatek narcyza, którego pragną spieczone usta wędrowca dróg piaszczystych. Ma ona w swej mocy uściśnienie ciepłe i taki magnes, który idzie od serca do serca...

W tej chwili ona przerwała mu mowę. Jak człowiek, który pragnie słońca, lecz przed wybuchem jego drżące powieki przemyka, tak serce jej drżało przed wzmagającymi się w moc i czułość akordami jego mowy.

— A czego pan nie lubi? Mówił pan, że nie może powiedzieć, tak jak ja: lubię wszystko! Niech mię pan nauczyc, co to jest takiego na świecie, czego lubić nie można? Czego pan nie lubi?

— Czego nienawidzę?

— Nienawidzi pan! — wykrzyknęła.

A on, jakby na przekór jej kończyć chciał swoją litanię miłości, zcichła rzekł:

— Kocham oczy, w których samo słowo nienawiść krzesze iskrę przerażenia... Są to oczy, które nie widziały jeszcze grzechów i mąk świata... Ja, pani, mam w sobie nienawiści wiele... Otwieram drugie okno mego domu. Niech pani patrzy! Nienawidzę smoków, które, czołgając się po niebie, zjadają rozciągnięte po niemi smugi ideałów... Nienawidzę zwierząt, które, wylażąc z podłoża natury ludzkiej, depcą najwyższe jej wykwyty i prze-

szkadzają im rozwijać się z pąków. Nienawidzę masek, szcudel, głupich pozłot, płytkiej politory... Nienawidzę zagadek, które w głębi człowieka płaczą zło i dobro, czyniąc go nieraz dla siebie samego zagadką. O, te zagadki, które w nas samych na zgubę naszą pracują. Coś w nas jest, co na zgubę naszą pracuje... Nie czujemy w sobie nic, łudzimy się. Ach jakże łudzimy się, myśląc: jesteśmy czysti, silni! Coś bez nazwy i wiadomego początku obudzi się, zawyje, rzuci się na podłożu naszym i z krzykiem przestrachu spostrzegamy, żeśmy — słabi, występni!

Nagłym ruchem wstał i rękę podniósł do czoła, w które uderzył ciemny rumieniec.

— Nienawidzę samego siebie!

W szepcie, jakim to wymówił, była zgryzota czarna i ciężki wstyd, który nisko pochylił mu głowę.

Nie rozumiała nic oprócz tego, że on cierpi. Pełna żalości powstała i z prostą, szczerą tklivością w oczach, ręki jego dotknęła tą samą dłonią, która od siwej głowy dziadunia, jak skrzydło anioła, odwiedzała gorycz i nudę starości.

— Pan ma jakieś wielkie zmartwienie, nie wiem jakie, ale wielkie i które w tej chwili panu się przypomniało. Więc muszę poprosić, niech się pan tak nie martwi! Chociaż niewiele jeszcze poznałam życia, wiem, że bywają w niem różne nieszczęścia i mocno pragnęłabym przychodzić im z pomocą... Cóż dopiero panu... Jeżeli mogę... cokolwiek... to niech pan powie! Uczynię wszystko.

Nisko pochylił się do jej ręki i złożył na niej pocałunek pełen czci. Potem prosić zaczął, aby jutro mogli znowu znaleźć się razem w tym ogrodzie.

— Jeszcze tylko jutro... Potem pani rzuci się w wir światowy, ja będę też bardzo zajęty... Ale jutro jeszcze, tylko jutro!

— Dobrze, aleź dobrze! cóż to ważnego? ogród ten taki miły, a ja po to przecież tu przyjechałam, aby przyjemnie czas przepędzać... Dziś jeszcze odwiedzę Janinę, a jutro pan przyjdzie do nas i razem tu przyjdziemy...

Z oczyma, które znowu od czegoś uciekając, błądziły po drogach i trawnikach ogrodu, rzekł oschle:

— Niech pani do panny Skierskiej nie idzie... jej tu niema. Wyjechała.

— Dawno wyjechała? na długo?

— Nie wiem nic, ale wyjechała.

Przed kilku godzinami jeszcze, wiadomość ta sprawiłaby jej zmartwienie; teraz powiedziała „szkoda” i, topiąc wzrok w zieleni ogrodu, zawołała:

— Idźmy!

— Dokąd?

— Gdzie oczy poniosą!

— Wyborne! Może na koniec świata! Wie pani! wyborna myśl! A gdybyśmy tak z panią poszli... pojechali razem na koniec świata!

Powiedział to ze szczególną powagą, a ona, bawiąc się drżeniem głosu, filuternie mru-gnęła powiekami:

— Dobrze! Jutro puścimy się do Australii. A teraz, niech mi pan jeszcze pokaże trochę tych grobowców, które powstały nad znikłem w ziemi morzem pokoleń...

Odeszli aleją ogrodu. Dwie ich postacie młode, zgrabne, z cichą i szybką rozmową oddalały się pomiędzy dwiema ścianami zielonemi, w migotliwej grze światła i cieni. Za nimi zostawały coraz dalej jaśminy na krzakach, patrząc z pośród złota słonecznego tysiactem oczu śnieżnych, dużych...

Do pokoju, zwanego pokojem z kanarkami, wpadła jak różowy, śmiejący się, skrzydlaty wybuch szczęścia i wprost od drzwi rzuciła się na szyję starej kobiecie, która sypała ziarno do klatki. Całowała ją w twarz i w ręce.

— Przepraszam! przepraszam! Spóźniłam się na obiad, pewno cicię zaniepokoiłam! Głodna jestem okropnie! Wcale nie wiedziałam, która godzina i dopiero, jak usłyszałam zegar bijący na tym starym kościele...

— Zawsze przecież masz przy sobie zegarek...

— Nie patrzałam, nie pamiętałam... Dopiero teraz czuję, że mi się jeść chce... Pan Bohdan Olski pokazywał mi w mieście tyle rzeczy nieznanymi, pięknych, bardzo dawnych...

— Pan Olski? Ten sam, który...

— Ten sam, ten sławny... Spotkaliśmy się wypadkiem. O, Boże! jak ten kanarek śmiesznie przekrzywia główkę do ziarek! Ogromnie lubię ptaki! Ciocia nie może dosięgnąć drugiej klatki? Proszę pozwolić, ja wskoczę na krzesło... Bardzo lubię sypać ziarno ptakom... W Liliowej mam gołębie. Czy ciocia lubi gołębie? Ja bardzo...

— Chciałabym wiedzieć, czego ty nie lubisz, mała?

— To prawda; wszystko lubię.

Zeskoczyła z krzesła.

— Jednak mam dziś zmartwienie...

— Nie znać tego...

— To nic. Mam jednak... chociaż nie zbyt wielkie. Janina Skierska... ta malarka...

— Wiem, wiem!

— Wyjechała! Niema jej tu teraz. A tak marzyłam, że się z nią zobaczę...

— Wyjechała? Kto ci to powiedział? Spotkałam ją wczoraj w ogrodzie. Znam ją dobrze z widzenia...

— Wczoraj? Czy podobna?

— Tak, tak. Jest w mieście najpewniej. Myślę jednak, że teraz pewnabyś zjeść obiad. Zadzwoń, aby ci go podano. Wszak pomiędzy mnóstwem innych rzeczy, lubisz zapewne jeść obiad, gdy jesteś głodna?

Przeciw zwyczajowi swemu nie zawołała: lubię! Stała pośrodku pokoju, jak wryta.

— Czy podobna? Dlaczegoż więc...

Nie kończyła w myśli zapytania: dlaczego powiedział nieprawdę? Może wieść fałszywa, usłyszana i powtórzona? E! Pewno, pewno! Tyle plotek podobno rozchodzi się po miastach. Ach, jakże jutro będzie żartowała z niego! Nazwie go plotkarzem. Mężczyzna — i w dodatku sławny autor — plotkarz! Jakże będą oboje śmiać się! A może to... podstęp? Tak bardzo nie chciał — trzeciej osoby! „Żeby najlepszą była, dla mnie będzie najgorszą!” I to jest prawda. Ona sama czuje, że najlepiej im jest, gdy są tylko we dwoje. Tak bywało już i w Liliowej. Więc niezawodnie dlatego powiedział nieprawdę. Bardzo nieładnie jest mówić nieprawdę, jednak, rzecz dziwna! ona gniewać się, ani za złe brać mu tego — jakoś nie może. Tylko, nie może również przystać na to, aby obrazić i zranić kobietę, dla której nietylko ma przyjaźń serdeczną, ale nawet cześć. Bo oprócz przyjaźni, ma ona uczucie czci dla tej kobiety, która wiele przetrwać i przewalczyć musiała, zanim swoją iskrę twórczą roznieciła w gwiazdę, pięknie teraz świecącą na niebie sztuki i ojczyzny. Na szerokim świecie znana i wysławiana, przynosi chlubę krajowi. W porównaniu z tą kobietą, natchnioną i pracującą, czemże jest ona sama, prawie dziecko, którego lata upłynęły w pogodzie niezmałonej, i które dotąd dla nikogo nic nie uczyniło, mając tylko dla wszystkich najlepsze chęci? Jednak, pomimo różnic ogromnych muszą istnieć pomiędzy nimi podobieństwa i wspólności, bo ilekroć się spotykały, stosunek ich był nietylko poufale, lecz pełny wzajemnej ufności. Wiele światła, wiele wiadomości o sztuce i świecie zawdzięcza Janinie Skierskiej, lecz więcej jeszcze tego szczęścia, że może uwielbiać istotę, ku której pociąga ją serce.

Więc naturalnie, teraz, gdy dowiedziała się, że wiadomość była plotką, czy podstępem, pojedzie do niej dziś, zaraz. Jutro, do starych dzielnic miasta i do ogrodu z jaśminami pójdzie — z plotkarzem we dwoje, bo pocóż ma sprawić przykrość jemu i — sobie? Ale dzisiejszy wieczór przepędzi z Janiną. Jeszcze ma wiele czasu. Dni majowe długie. Od późniejszego obiadu jeszcze godzina czasu do zachodu słońca.

Na godzinę przed zachodem słońca wyskoczyła z dorożki, wbiegła na schody dużego domu, zadzwoniła do drzwi, i gdy się otworzyły, weszła do ładnej bawialni artystki. Tu zawahała się, czy iść dalej... Może przeszkodzi... Lecz kroki jej sprawiły trochę szelestu. Za otwartymi drzwiami przyległego pokoju ozwał się głos kobiecy, w którego brzmieniu piersiowem i głębokim czuć było uśmiech.

— Czy to pan, panie Bohdanie?

Jego imię? Czy on tu przyjść ma? Ależ to dzieciństwo! Imię to, choć rzadkie, nie on jeden przecież nosić może! Jednak, coś nogi jej do ziemi przykuło...

Z przyległego pokoju po raz drugi rozległo się pytanie, z wyraźniej tylko rozlaną w głosie słodyczą:

— Czy to pan, panie Bohdanie? Niech pan wejdzie!

Trzeba wejść. Stała w drzwiach otwartych...

— Ach, to ty, Cecylko!

Z pośród sztalug z płótnami, palet z roztartymi farbami, szkiców malarskich na ścianach, kawałków rzeźb wszędzie, a tu i owdzie sprzętów nielicznych, lekkich, kobieta wysoka i w szczupłości swej bardzo zgrabna, ze śmiałą gęstwiną ciemnych pierścieni włosów nad oczyma chmurnie błyszczącymi pośród zmiętej nieco cery, szybko postąpiła ku wchodzącej i objawszy ją ramionami, w milczeniu złożyła dwa pocałunki na jej czole i ustach.

— Przyjechałaś? Kiedy? Jak to dobrze, że przyszłaś! Gdybyś mnie była jednym słowem zawiadomiła, przybiegłabym do ciebie... Zdaje mi się, że od wejścia twego powiały na mnie wszystkie cisze i wonie waszych kochanych stron. Ach, jak ja tam wśród was wybornie odpoczywałam! Tak odpoczęłam, że po powrocie zrobiły mi się najlepsze moje roboty. Chodź — że, usiądź tu! Muszę zapytywać cię o mnóstwo rzeczy i sama wiele ci opowiadać... Usiądź tu, a ja przy tobie! Może chcesz cukierków? Stawiam je tu, blisko... wszak je lubisz? Ty zresztą, jak dawniej, wszystko, co jest na świecie, lubisz! Prawda, wiosno?

Ze szczerą czułością w chmurnych oczach patrzyła na tę różową, złotowłosą towarzyszkę, prawie dziecko w porównaniu z nią, kobietą dojrzałą na trudnych drogach pracy i na wyżynach natchnień artystycznych. Kilka lat tylko różnicy wieku, ale takich, że do szczeru starły z niej barwy wiośniane. Chód i postawy miała pomimowoli wzorowane na tych posągach, z których oczy jej nieraz napawały się pięknem; pomimowolna też gloria talentu i sławy zdawała się unosić nad śmiałą gęstwiną ciemnych pierścieni jej włosów. Czoło, po którym myśl skupiająca się nad zadaniami życia i sztuki przeciągnęła cienką brózdę, jak nitkę z ciemnego pasma, pochylając nad czołem towarzyszki, do „śniegu w polocie” podobnem, zapytywała, mówiła, wywoływała wspomnienia miejsc i chwil, które były im wspólne. Dość długo dwa ich głosy z brzmieniem zupełnie różnym mieszały się z sobą w szybkich i nieraz jednoczesnych pytaniach i odpowiedziach, aż jeden z nich, kryształowy zwykle, teraz trochę stłumiony, przemówił:

— Gdy miałam tu wejść, dwa razy zapytałaś głośno: czy to pan, panie Bohdanie? Kto ten pan Bohdan, którego przyjścia oczekujesz, Janiu?

— Pan Bohdan Olski...

Głos kryształowy ciszej niż zwykle zapytał:

— Ten autor?

— Tak... Nie znasz go naturalnie.

Chwilę trwało milczenie.

— A ty, Janiu, znasz go zblizka?

Artystka, w jednej ze swych posągowych postaw, uśmiechała się.

— Czy go znam zblizka? Jest to, Cecylko — mój narzeczony!

Przy tych słowach z chmury, zalegającej głębię jej źrenic, wystrzelił promień jasny i gorący. Przeobraziła się; stała cała w łunie radości.

— Od kilku miesięcy jesteśmy zaręczeni. Tej zimy poznaliśmy się z sobą i w kilka dni potem już wiedziałam, że się stanie. Oboje mamy usposobienia wrażliwe, przytem, zbliżyły nas odrazu wspólności umysłowe, artystyczne... Ślub weźmiemy w jesieni i zaraz potem wyjedziemy na czas jakiś zagranicę na studia... On i ja, potrzebujemy zarówno uczyć się jeszcze, wzrastać, na skrzydłach nauki i pracy wlatywać coraz wyżej — *ad astra!* We dwoje lot szczęśliwy...

Urwała i zawołała.

— Jakież dziwne światło rzuca na ciebie ta zielona draperya! Wyglądasz tak, jakbyś miała zemdleć! Nie chcę cię widzieć taką. Poczekaj chwilę na ciąg dalszy mego poematu... Usunę tę draperyę.

Wspięła się na ładnie wyrzeźbioną drabinkę i z ramionami wysoko podniesionemi usuwała z nad głowy towarzyszki fałdzistą materję, która pod smugą zachodzącego słońca

rzucała refleksy światła zielonawego. Cecylia zaś na szerokiej otomanie mocno skrzyżowane ramiona przyciskała do serca, które „wierzyło we wszechprzestrzenność i wiekuistość błękitów”.

Janina stała przed nią zaniepokojona.

— Nie! to nie draperya temu winna! Jesteś błada i zmieniona...

— Jestem trochę chora. Przyjechałam tu właśnie dlatego... aby lekarzy... Nie zważaj na to! Już przechodzi... przeszło...

Sięgnęła do pudełka z cukierkami, stojącego tuż obok na małym stoliczku.

— Więc czujesz się bardzo szczęśliwą?

Uczuła sama rękę swą ujętą w giętkie, nerwowe dłonie artystki.

— Pierwszy raz w życiu zobaczyłam, jak wygląda szczęście. Cudnie wygląda ono, Cecylko! Zdaje się, że teraz dopiero, odkąd się z niem spotkałam, uczulam wartość życia... Przedtem, było ono tylko obowiązkiem, teraz jest... taką radością! Po raz pierwszy zrozumiałam wyrazy: radość życia. Bo ty wiesz: nie urodziłam się tak jak inne w gnieździe wysłanem puchami, które co wiosny sypią się z topoli, ani mnie w kołysce usypiały śpiewy słowicze.

Z kamienną zadumą w oczach, Cecylia rzekła:

— Wiem. To prawda.

— Dzieciństwo moje było ubogie i srogie. Wzrastałam i żyłam pośród ludzi obcych, a potem, gdy uczulam w sobie szelesty skrzydeł mego anioła, tego anioła piękna, który rwał mnie w krainy podświetlone, ileż cierpienia, tęsknoty, walk... Z chłodem i głodem ciała i duszy, z twardością serc ludzkich, ze srogością sądów ludzkich, ze zwątpieniami o zdolnościach własnych, z omdleniami własnego ducha walczyłam, zanim zdołałam światło, które było we mnie, rozniecić nieco silnie, nieco trwale...

— Tak. Wiem. To prawda.

Był to szept zaledwie dosłyszalny, lecz jednocześnie wzięła z pudełka drugi cukierek, a gdy oczy jej zachodziły mgłą wilgotną, gryźć go zaczęła w perłowych zębach i głośniej rzekła:

— Nikt w świecie nie jest godniejszym szczęścia nad ciebie.

— Nie wiem; to wiem tylko, że je mam w sercu i w głowie, w snach i na jawie, gdy oczy otwieram na dzień wschodzący i gdy zamykam je do snu z myślą błogosławiącą świat, za wielkie dobra, które są na nim. To, widzisz, taka tęcza, z barwami przez samą rękę Bożą malowanymi na niebie ludzkiego serca. Jest w niej gorące złoto upojeń płomiennych, świeża zieleń nadziei, królewska purpura wspólnego panowania nad krainą ideałów, lecz nadewszystko, nad wszystkie barwy tęcz serdecznych głębszy, czystszy, rzadszy, droższy, szafir ufności bezgranicznej...

Oczy błękitne, które „nigdy dotąd nie widziały grzechów świata”, podniosły się na mówiącą, ciągle pod mglistą zasłoną kamiennie zadumane.

— Ufasz mu bardzo, Janiu?

— O, więcej, niż sumieniu własnemu, niż rozumowi własnemu, niż całej samej sobie. Po raz pierwszy w życiu ufam tak bez granic czyjejsi prawości i miłości.

Usta, z których koralowego kielicha „wychodziły hymny uwielbienia dla wszystkiego, co istnieje”, drgnęły uśmiechem, od którego pobladł koral ich kielicha.

— Ależ, Cecylko, znowu pobladłaś silniej! Skąd to chorowanie tobie, wiośnie? Może ci dać trochę wina?

— Dobrze, Janiu. Daj mi trochę wina.

Przez kilka minut pozostała samą i wtedy z serca jej, które „jak jutrzienka, nic dotąd nie wiedziało, nad jakim dniem wschodzi”, podniosła się ku oczom łkająca fala łez; ale mocno przyciśnięte powiekami oczy, zwyczajsko zwróciły ją sercu, po którym rozlała się, jak mętny opar ziemski po błękitnym niebie. Wkrótce obok pudełka z cukierkami stał na stoliczku kieliszek z blade-złotym płynem, a dwie kobiety na otomanie, pełnej poduszek, rozmawiały znowu.

— Muszę ci opowiedzieć, jak się to stało. Znaliśmy się już może od tygodnia, gdy raz spotkałam go wypadkiem na ulicy i dalej poszliśmy już razem. Ja szłam po sprawunki malarskie, on niósł do którejś wielkiej gazety rękopis, ale zapomnieliśmy o tem i z ulicy w ulicę szliśmy, nie wiedząc dokąd idziemy, aż znaleźliśmy się w dzielnicy miasta, której jeszcze nie znałam, a którą on znał dobrze...

Cecylia przerwała.

— Może w tej, gdzie są takie stare domy, z przedsionkami ciemnymi i taki stary kościół?

— Tak, tak! Czy tam byłaś kiedy?

— Byłam.

— Bohdan mówi prześlicznie. Cóż chcesz? poeta! Zasłuchałam się, zapomniałam o lecących jak błyskawica godzinach. Drogę zastąpił nam jakiś ogród...

— Z mnóstwem kwitnących jaśminów?

— Nie; było to w zimie. Jaśminy nie kwitły, ale na drzewach i krzewach, jak rzeźbione marmury, leżały wielkie płaty śniegu i śnieg migocący miliardem iskier zaścielał ziemię. Powietrze lekko mroźne, jak kryształ przejrzyste przepajało złoto słoneczne. Usiedliśmy w tym ogrodzie, aby trochę odpocząć i naraz jemu i mnie jednocześnie wydało się, że to taki sen dziwny, który przeniósł nas pomiędzy marmury, stojące w złocie słonecznym, na kobierzec, z którego mrugały ku nam, wyraźnie ku nam mrugały, miliardy brylantowych oczu. Wtedy powiedział, że mnie kocha...

Cecylia cicho rzekła:

— Bywają czasem na świecie cudne sny!

I wzniosła na towarzyszkę oczy, z których patrzyła wielka — litość.

— Takie masz w tej chwili dobre, rozrzuwione oczy! Kochane oczy, które jeszcze takiego snu nie miały, lecz mieć go będą, wkrótce. Moje oczy długo patrzyły w same chmury, to też łatwo im zająć chmurami. Jakiś obłoczek powstał na moich błękitach, jakiś kamyczek wpadł mi do szczęścia... Drobne to, zaledwie pochwytne, jednak... Powiem ci, jak mówię wszystko. Bohdan na początku wiosny zrobił dość długą wycieczkę w głąb kraju, kędyś tam w okolice niedalekie od waszych. Czegoś tam poszukiwał, coś chciał zobaczyć, zwyczajnie jak bywa z autorami. Wracając, przywiózł z sobą jakieś zmartwienie, nie wiem jakie, ale widzę, że je ma w sobie. Ukrywa i to mnie boli. Naturalnie, że to coś ze spraw majątkowych, albo pisarskich... jakieś niepowodzenie pieniężne, czy wielka trudność pisarska, ale coś jest, co go niepokoi i boli... Są chwile, w których staje się niespokojny, milczący, czasem gorzki...

Z przykrem zamyśleniem zatopila palce w gęstwinie ciemnych pierścieni i powtarzała:

— Coś jest! Nie wiem, ale coś jest!

Cecylia wiedziała.

Co robić? Wybuchnąć płaczem nad nim, nad nią, nad sobą, powiedzieć wszystko i — zabić co? Ciało jej? duszę? talent? wszystko jedno — zawsze coś zabić?

— Cicho! cccicho!

Głosem cichym, ale bez żadnego drgnienia, zapytała:

— Czy pan Bohdan nie mówił ci nic o Liliowej?

— Nie; jakimżeby sposobem? po co? skoro tam nie był...

Tak. Ciężko mu było mówić z nią o „raiku ziemskim w wianku dębowym”.

Wstała.

— Muszę już iść!

— Jakto! tak prędko! jeszcze mi nic nie powiedziała o sobie! Zaraz przyjdzie pan Bohdan. Zaznajomicie się, razem przepędzimy wieczór — co za wieczór! we troje, z nim i z tobą!

Stała przed ściskającą rękę jej artystką, inna, niż gdy tu przyszła: wyższa, sztywniejsza; z uśmiechem na ustach, ale innym.

— Nie mogę... czuję się chorą.. Zresztą, trzecia osoba, choćby była najlepsza, będzie najgorsza. Muszę iść. Jutro — jeżeli nie wyjadę... ale pewnie jutro wyjadę do domu...

Kiedy schodziła ze schodów, padał już na nie gruby zmierzch. Ze stopnia na stopień zstępowała tak powoli, jakby miała sto lat, i tak cicho, jakby była cieniem. Nic dziwnego, że szła powoli, bo pod małym kapeluszem z fiołków niosła w głowie pierwszą zagadkę, którą do rozwiązania dało jej życie. Usiłując ją rozwiązać, świeciła w zmierzchu twarzą, jak białym opłatkiem.

Wtem, od dołu, rozlegać się zaczęły kroki męskie. Ktoś ze stopnia na stopień schodów wchodził bardzo powoli. Czuć było w tych ciężkich stapaniach, że znowu tu idzie czło-

wiek, który ma głowę ciężką od poszukiwania klucza jakiejś zagadki. Na załamie schodów spotkali się.

— Pani tu! Pani tam była!

Rzucił się ku niej, do jej rąk, po które wyciągnął swoje. Ale ona cofała się i cofnęła pod balustradę schodów, o które oparta zdawała się wyższą, niż była przedtem, dumną, z gestem rozkazującym, którym zatrzymała go w oddaleniu.

Szeptem, ale wyraźnie, rzekła:

— Nie powiedziałam, że... pan był w Liliowej. Nie wie nic. Jutro pojedę do domu.

Twarzą świecąc, jak białym opłatkiem, zaczęła znowu zstępować ze schodów powoli, cicho, aż w zmierzchu zniknęła.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zagadka-orzeszkowa>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Chwile*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0666-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).